Rok 1938 4 września Nr 36

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO“

Miesiąc plonów

Nadszedł wrzesień, pierwszy miesiąc jesieni, tak szczególnie w Polsce uroczej pory roku. Są ludzie, którzy przenoszą ją nad wiosnę, inni nad lato, zachwycając się jej przedziwnym nastrojem pełnym spokoju, to znów obfitością plonów, jakimi, według nieodmiennych praw Bożych darzy człowieka pracowita przyroda; jeszcze dla innych najmilszy jest ów smętek, jakim tchną jedynie dni wczesnej jesieni. Ale są tacy, którym żal ściska serce, bo oto przekwitają kwiaty, blednie krasa barw w ogrodach i lasach, przygasają ogniste promienie słońca — robi się w świecie coraz szarzej i ciemniej.

A przecież są ludzie, których oczy nie poznały nigdy piękna i radości, jaki daje widok kolorowych kwiatów, nie zaznały szczęścia oglądania świata w zalewie słonecznych blasków... Dla nich wszystko zawsze jest bezbarwne w swojej czarności i ciemne przez brak w oczach światła. To ludzie niewidomi.

Pisał o nich „Dzwoneczek“ przed dwoma laty obszernie w nr. 39, 40 i 45 w artykule pod tytułem „Czworolistna koniczyna“, pod tym bowiem hasłem zorganizowana była w całej Polsce składka na rzecz ślepców, którymi zajmuje się „Towarzystwo Opieki nad ociemniałymi“.

Oto właśnie dla tego Towarzystwa, dla tej rzeszy najnieszczęśliwszych, bo pozbawionych możności widzenia, wrzesień ma być miesiącem plonów, które pozwolą na dalsze przetrzymanie błogosławionej instytucji, gdzie ci biedacy znajdują najzbawienniejsze lekarstwo na swoją niedolę.

Tam z człowieka nieużytecznego przemienia się ślepiec w pełnowartościowego obywatela swego kraju; z nieoświeconego światłem wiedzy i nauki prostaka, przekształca się w wykształconego rzemieślnika, urzędnika, nauczyciela, wychowawcę itp. Tam dziatwa niewidoma, która byłaby jedynie utrapieniem i ciężarem dla swojej rodziny, staje się niemal jednako wartościową, jak ta druga, patrząca na świat zdrowymi oczyma i mająca możność zdobywania wiedzy. Tam z nieszczęśników, których zadręczyłaby może kiedyś bezradność, zabiłaby rozpacz, wyrastają ludzie, mogący być niekiedy dla zdrowych budującym przykładem pracy, wytrwałości, mocy charakteru, dobroci serca.



W zakładzie dla ociemniałych w Laskach pod Warszawą: (Na lewo): Lekcja gry na fortepianie udzielana dziecku ślepemu przez ociemniałego nauczyciela. (Na prawo): Nauka koszykarstwa ozdobnego.

Czyż możliwe, by znalazł się choć jeden człowiek, który zaznajomiwszy się z tą smutną sprawą, nie wyciągnie ręki pomocnej w stronę nieszczęśliwych? To nie będzie „jałmużna“, lecz zbiorowy dar, który umożliwi Towarzystwu dalsze utrzymywanie zakładu w Laskach pod Warszawą, gdzie już dotychczas wybudowano szkoły, internaty, ochronki, warsztaty, czytelnie, biura zarządu itd. itd., a co wszystko wymaga wielkich sum, aby nie zmarniało, ale trwało nadal dla dobra, pożytku i szczęścia nie tylko samych niewidomych, lecz całego kraju i społeczeństwa.

Bardzo wiele możnaby pisać o Laskach i niezliczoną mnogością fotografij przedstawić życie tego zespołu ludzkiego, któremu na imię „ślepcy“... Nie ma jednak na to miejsca w jednym numerze małego pisemka, niechaj zatem na razie wystarczy tych parę zdań i załączone obrazki. „Dzwoneczek“ postara się jeszcze niejedno zamieścić, a tymczasem na zapoczątkowanie choćby najskromniejszej zbiórki w gronie swoich Czytelników i Przyjaciół, składa ofiarę pięciu złotych dla najmniejszych mieszkańców Lasek — owych biednych, kochanych Anulek, Felusiów, Czesiów i ich towarzyszy i towarzyszek z przedszkola. Może jaka laleczka, konik czy piłka rozweseli smutne oczka dziecięce, które całą zdolność i umiejętność „patrzenia“ przelały w palce swych rąk. One, te niesłychanie czułe i delikatne palce „widzą“ poprzez czucie kształty, rozmiary, niemal i kolory rzeczy, na które dla nas dość rzucić jedno spojrzenie...

„Dzwoneczek“ bardzo serdecznie dzwoni, iż nadszedł wrzesień — pora plonów dla osiedla niewidomych w Laskach...

E. O.

Niech żyje K. S. M.!

W niedzielę, 4 września Katolickie Stowarzyszenia Młodzieży Żeńskiej (K. S. M. Ż.), do których należą dziewczęta w wieku już poza szkolnym, obchodzą swoje doroczne święto patronalne.

Wkoło siebie słyszę: Druhnyśmy z K. S. M.! —
i tylko ja jedna jeszcze nią nie jestem!
Więc pytam: Dlaczego? — Boś młoda, za mała... —
oto mego smutku przyczyna jest cała.
Ale poczekajcie, niech tylko dorosnę,
niech tylko zdobędę tę ostatnią wiosnę —
pokażę wam wtedy, czym i ja nie godna
tej nazwy kochanej, co jest tak pogodna,
tak czysta, tak droga, jako młodość sama —
jedna w moim smutku pociesza mnie mama.

A tymczasem patrzę na wasze zastępy —
dzielne, równe, hoże, jakby na występy;
podziwiam i kocham was, druhny serdeczne,
i już dziś ślubuję przywiązanie wieczne,
do tych haseł waszych i do waszej wiary,
bo w nich źródło cnoty i siły bez miary.
Pójdę w wasze ślady, stanę pod sztandarem,
serce swe wypełnię wszechmiłości żarem.
A dzisiaj na razie, choć druhną nie jestem —
wołam najdonioślej: Niech żyje K. S. M.!

Bajka o wilczych łowach

Pewnego razu wybrał się młody, mało doświadczony wilk na łowy, był bowiem bardzo głodny. Idąc przez las, rozmyślał, gdzie się udać na polowanie — czy do koniczyny, gdzie bywa dużo zajęcy, czy na jakie podwórko, gdzie są kurki, gąski, czy też na polanę, gdzie pasą się tłuste barany. Tak idąc i rozmyślając, patrzy, a tuż przed nim stanął na tylnych łapkach z szeroko otwartymi oczyma przestraszony zając. Wilk się ucieszył, że tak tanim sposobem zdobędzie dobre śniadanie, podniósł ogon, podbiegł bliżej do zająca i mówi:

— Zjawiasz się, jak na zawołanie, właśnie ciebie tu dla mnie potrzeba, jestem bowiem bardzo głodny i muszę cię dzisiaj zjeść na śniadanie.

Zając skinął pokornie głową, opuścił smutnie uszy, a widząc, że nie może ujść wrogowi, powiada do niego tak:

— Wiesz co, kochany przyjacielu-wilku, mnie samego to dla ciebie za mało na śniadanie; mam ja kolegę niedaleko, którego mogę sprowadzić dopiero, gdy nas obydwóch zjesz; wtenczas napewno dobrze się posilisz.

Wilk zaskoczony tak pokorną odpowiedzią, pomyślał sobie, że dobrze by to było, tylko, żeby mu nie uciekł. Wreszcie mówi:

— A więc dobrze, sprowadzisz mi tego przyjaciela, ale ja pójdę z tobą.

Zając kiwnął główką na znak, że się zgadza i ruszyli z miejsca, idąc przez las. Kiedy uszli kilka kroków, zając widząc gęste krzaki, tupnął tylnymi nogami, dał drapaka i zniknął w gęstwinie. Wilk stał przez chwilę jak osłupiały, patrząc w stronę, gdzie zniknął zając, lecz ponieważ głód mu począł coraz bardziej dokuczać, nie zastanawiając się długo, opuścił las i udał się na znane w niedalekiej wiosce podwórko, z myślą, że tam może prędzej co wskóra.

Podchodził z wielką ostrożnością, by go nikt nie zauważył i zaczaił się na gąskę, która w tej chwili obok niego przechodziła. Zastąpił jej drogę i mówi jej tak:

— Kochana gąsko, przygotuj się na śmierć, bowiem dziś postanowiłem cię zjeść, gdyż jestem bardzo głodny.

Gąska zaczęła się tłumaczyć, że ma młode pisklęta, że musi je wychować, lecz nic nie pomagało, wilk uparł się, że ją musi zjeść koniecznie. Wreszcie gąska widząc, że jej nic nie pomoże, mówi do wilka:

— Pozwalam ci się zjeść, lecz pod tym warunkiem, że mnie zaczniesz jeść od ogona.

Chytry, a zarazem głodny wilk po tych słowach, począł gryźć ostrymi zębami gęsi ogon. Gryzie i gryzie, lecz jakoś mu to nie idzie, zatkał sobie całą paszczę pierzem i począł się dławić, wreszcie mówi do gąski:

— Cóż ja cię będę jadł, skoro masz same pióra! W dodatku usłyszał szczekanie psa z podwórka, więc czemprędzej zaczął się oddalać, by czego nie oberwać.

Kiedy znalazł się już za wsią, spostrzegł, że na polanie stoi piękny, tłusty baran. Podskoczył z radości i pomyślał sobie: cały dzień nie miałem szczęścia, ale teraz to sobie użyję.

Podszedł z tyłu do barana, by go nie zauważył, poczem nagle stanął przed nim i mówi:

— Nic jeszcze dziś nie jadłem, więc postanowiłem cię zjeść i to zaraz, nic ci nie pomoże.

Baran, zaskoczony tak niespodziewaną wizytą, odpowiada wilkowi:

— Owszem, możesz mnie zjeść, a nawet ci mogę sam do gardła wskoczyć, po co mamy się obydwa tak mordować, więc o ile chcesz, to stań sobie na dole, otwórz paszczę i poczekaj, a ja ci w nią wskoczę.

Wilk pyszny, widząc wielkie uniżenie barana, kiwnął głową, że się zgadza.

Stanął na dole, rozszerzył tylne nogi, otwarł szeroko paszczę, zamknął oczy i czeka. Natomiast baran wyszedł na górę, rozpędził się i z całej siły uderzył rogami w paszczę wilka tak mocno, że mu wszystkie zęby powybijał, poczem natychmiast uciekł w krzaki.

Kiedy wilk oprzytomniał, poczuł że coś w paszczy rozgryza i że leje mu się krew, nie wiedział jednak czyja i dopiero

później się przekonał, że to jego własna.
Widząc, że tego dnia nie ma szczęścia do polowania, zebrał resztę sił i powlókł się z powrotem do lasu. Wkrótce natknął się na tego samego zająca, którego spotkał, wychodząc rano na łowy. Śmiał się teraz szarak z niego, że go tak wykiwał, ale wilk smutny, pieniąc się w bezsilnej złości, szedł w dalszym ciągu do nory, nie myśląc nawet o gonieniu zająca. Wiedział dobrze, żeby go nie dogonił, a choćby go nawet dogonił, toby go nie miał czem zjeść.

Kar. K.

Patrol Lwów

Powieść z życia obozowego pierwszych skautów polskich z r. 1912.
Napisał Kazimierz Kalinowski. — (Ciąg dalszy)

Właśnie tej okoliczności zawdzięczał Bolek Barski swoje ocalenie z pośród gromady dwu i czworonożnych napastników opieńkowskich, że osaczony w ulicy, mógł się schronić do zagrody Dawidków. Póki bowiem Bukiet wałęsał się po podwórku, wiecznie przez Jacentego podszczuwany i droczony złośliwie, a często karmiony umyślnie krwią surową, póty obca noga nie przekroczyła bezkarnie płotu bogatego żebraka.

Odkąd jednak nie stało stróża, tak się zaraz wszystko w całym domu odmieniło, że można było sądzić po nowym trybie Dawidka i Michalichy, jakoby nigdy za tym wysokim płotem nie było czego stróżować. Snać rozmyślnie kłódki nie wieszano u drzwi, gdy się zdarzyło, że pod nieobecność ojca, gospodyni z domu wyszła dalej niż do sąsiadów. Wszak kołek wetknięty w skobel na oku ludzkim musiał upewniać, że złodziej nie ma poco trudzić się do środka.

I tak, zdaje się, osądzili zazdrośnicy, bo po wsi jęli przebąkiwać, iż musiał dziad wszystko, co miał, wywieźć z zagrody, albo gdzie w las i zakopać, albo może do miasta oddał jakim żydom na wielkie procenty. Kto go tam wie, włóczy się wciąż daleko po świecie za tymi odpustami, to widział i słyszał dużo, musi znać się na sposobach — stary wyga!

Prawda, że taki to nawet i od cygana mądrzejszy — mówili ludzie Bolkowi, gdy pozbywszy się ubioru skautowskiego, cały w słuch i wzrok zamieniony, wdawał się we wsi w rozmowy to z tym, to z owym, byle tylko z pożytkiem wyzyskać swoją przygodę, a najwięcej zasięgnąć języka w sprawie, w jakiej przysłał go tutaj zastęp Lwów.

Przez całe lata z książek nie byłby się tylu rzeczy i tak pamiętnie dowiedział, ile go ten jeden dzień w Opieńkach nauczył. Nie, to nie tylko on na swych wywiadach nauczył się tego, nie on sam; tylko przez niego cały zastęp, a przez ich patrol cała drużyna, cały hufiec młodzieży, co ma z murów wynieść kaganek, serdecznie ciepłym światłem płonący — i pójść z nim poprzez mroczne zagrody Dawidków, w głąb huczących od psiego szczekania Opieniek...

Nie przeczuwał nawet, by jedna wieś mogła gnieździć w swych opłotkach tyle naraz złości i ciemnoty, brudu i zepsucia! Doznawał wrażenia, że te psy rozjuszone, które u wjazdu do wsi opadły go na rowerze, są jeszcze lepsze, niźli owe wilki, co mieszkają w izbach zatęchłych bez światła i ciepła, a sypiają na zgniłych barłogach, gdzie cuchnące brudem i potem pierzyny roją się od robactwa...

Kiedy przed jasnym okiem szlachetnego młodzieniaszka stanęły w całej ohydzie przewrotność i zabobony, jakie tam wpajają rodzice w dusze tych, nie znających katechizmu ni elementarza, wynędzniałych dzieci, o pokręconym od chorób ciele; jak potworną złością i nienawiścią karmią tam matki niemowlęta w tych zadymionych i zakurzonych chatach, gdzie nigdy nie padają słowa Ewangelii, gdzie książki na żadnej półce nie znajdziesz, lecz na każdym kroku spotkasz ślady po tytoniu lub wódce; gdzie trudom całego życia jeden przyświeca ideał — pełny chlew; to się Barskiemu wydało, że czuje jak w serce, nożami bólu pokłute, łzy żalu wsiąkają, a ręce młode aż się porywają z ochotą do jakiejś wielkiej pracy, (C. d. n.)